

Projekt prologu do sam-nie-wiem-jak-to-nazwę — StalowyKruk

Od autora: Krótki prolog do nowego pomysłu wyrastającego na gruzach "Kłątwy Bestii". Jako, że tamten pomysł w ostatecznym rozrachunku okazał się moją porażką, jako autora, zamierzam napisać to od początku, wracając do moich pierwotnych koncepcji. Mam nadzieję, że lektura okaże się przyjemna.

Pustkowie przemierzały dwie, samotne postacie. Dlaczego samotne? To nie była kwestia liczebności. Każdy z wędrowców roztaczał wokół siebie aurę samotniczego ponuractwa i zalatującej dekadentyzmem pogardy do otaczającego ich świata. Jednak obaj robili to na inny sposób.

Człowiek idący z tyłu, odziany w znoszony, skórzany płaszcz, szeroki kapelusz i z twarzą zasłoniętą z pomocą chusty i okrągłych okularków o czarnych szklach, sprawiał wrażenie czegoś więcej, niż zwyczajnego podróżnika. Szedł dumnie wyprostowany, afiszując się swoją innością, lecz zostawiając jedynie niewyraźne wrażenie swojego istnienia u ludzi mających okazję go spotkać. Nie żeby było takich wielu.

Wędrowiec idący przodem, praktycznie prowadzący tę dwuosobową „kompanię”, był zupełnie inny. Nawet nie chodziło tu o różnice w ubiorze. Choć te również zwracały uwagę. Głównym elementem jego odzienia, była przedłużana skórzana kurtka, zdecydowanie stylizowana na jakiś rodzaj munduru. I miała kołnierz. Wysoki kołnierz, który wędrowiec postawił na sztorc, zapewne dla ochrony przed pyłem niesionym przez porywisty wiatr, nękający ich od dłuższego czasu. Ale to tylko drobnostki. Prawdziwą różnicę można było wyczuć przez jego postawę i zachowanie. Był to stuprocentowy człowiek. Nie żadna istota wyższa, półbóg, czy choćby ktoś usiłujący stać się czymś więcej, wynieść na wyższą płaszczyznę egzystencji. Nie, wędrowiec był człowiekiem w całej swojej wypełnionej woli przeżycia i dumą biorącą się raczej z zaciętrzewienia niż faktycznej godności osobie.

Był też wyrzutkiem. Kimś, kogo społeczeństwo wyrzuciło ze swoich obłudnych szeregów, a on w ramach zemsty odciął się od niego zupełnie. Nie żeby kogoś to obeszło. Ale on nie przyjął tego do wiadomości. Dalej rzucał pełne niechęci spojrzenia jakimkolwiek społecznościom, trzymając dystans od ludzi i w efekcie stając się środkowym palcem, wycelowanym w obraźliwym geście w kierunku wszechświata. A przynajmniej się starał.

– Daleko jeszcze? – zapytał przytłumionym przez chustę głosem kapelusznik.

– Zmęczyłeś się Kaznodziejo? – złośliwie rzucił przez lewe ramię jego towarzysz.

– Martwię się raczej o ciebie. Maszerujemy bez przerwy już sześć godzin. Może powinieneś odpocząć? Nie chcę, aby mój przewodnik padł ze zmęczenia.

– Niedaleko – wycedził wściekły wyrzutek. Kaznodzieja ledwo go usłyszał. Nic dziwnego. Silny wiatr wiele zagłuszał, a głos przewodnika brzmiał, jakby jego właściciel zamiast zestawu strun głosowych posiadał papier ścierny.

Po prawie godzinie przedzierania się przez niesłabnącą wicherę, dotarli do ścieżki. Właściwie było to niemal niedostrzegalne pasmo wydeptanej ziemi. Gdyby wyrzutek nie wiedział o niej, z pewnością by ją przeoczył. Obrócił się, sprawdzając, czy towarzysz dalej kroczy jego śladem i podążył powoli schodzącą niżej ścieżyną. Im dalej szli tą drogą, tym niżej schodziła ona względem poziomu gruntu. Już po chwili sucha skalista ziemia sięgała im do piersi, a po następnej mogli całkowicie schować się przed wiatrem. Kaznodzieja powitał to z pewną ulgą. Jak dotąd, przez całą drogę musiał przyciskać kapelusz dłonią.

Jar stopniowo przechodził w coraz głębszy kanion, aż w końcu przed wędrowcami rozpostarła się podziemna sala, wysoka na dobre dwadzieścia metrów i oświetlana wąskim promykiem światła, wpadającym przez szczelinę na suficie.

Ale nawet przytłaczający ogrom niewątpliwie naturalnej komory był niczym, w porównaniu z tym co znajdowało się na jej końcu. Otóż tam, gdzie powinno być zwężenie, lub chociażby nierówna, rzeźbiona wyłącznie siłami natury ściana, wpasowana była świątynna fasada. To znaczy, wyglądała na świątynną. Całość zbudowana z czerwonego kamienia, nietknięta przez czas ani żywioł, z dumą prezentowała ogrom kolumniek i ozdób, tak szczegółowych, że robiły wrażenie nawet z odległości niemal trzydziestu metrów, które dzieliły wylot kanionu od fasady.

Mijając wrak armaty i kości różnorodnych istot, z których większość miała zapewne pecha nie zauważyć szczeliny w ziemi, zbliżyli się do osobliwej budowli. Olbrzymia, kamienna brama leżała w kawałkach. Na fragmentach gruzu wciąż dało się dostrzec ślady drobiazgowej płaskorzeźby.

Weszli do środka. Kaznodzieja przesunął palcami po skomplikowanych symbolach, pokrywających ściany.

– Więc to tutaj wszystko się zaczęło? – mruknął.

– Tak.

– Byłeś przy tym?

Wyrzutek popatrzył na niego spode łba.

– A jak myślisz?

Kaznodzieja nie odpowiedział. Jedyнным dźwiękiem jaki pozostał było wycie wiatru, który wreszcie wdarł się między skały. Zdawało się, że niesie z daleka ciche wołanie: „Kaznodziejo! Kaznodziejo!”.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

StalowyKruk, dodano 07.11.2018 08:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.